

MISTRZ ROMANTYCZNYCH HISTORII

NICHOLAS
SPARKS

NOCE
W RODANTHE



ALBATROS

Tytuł oryginału:
NIGHTS IN RODANTHE

Copyright © Nicholas Sparks 2002
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Elżbieta Zychowicz 2003

Redakcja: Barbara Nowak

Zdjęcie na okładce: © Matheus Kohler/Unsplash.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Trzy lata temu, ciepłego listopadowego poranka tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, Adrienne Willis wróciła do Gospody, która na pierwszy rzut oka wydała jej się niezmieniona, jak gdyby czas, słońce, piasek i słońa bryza okazały się dla budynku łaskawe. Weranda była świeżo odmalowana, a błyszczące czarne żaluzje w prostokątnych oknach z białymi zasłonami na obu piętrach były niczym klawisze fortepianu. Cedrowa okładzina miała kolor przykurzonego śniegu. Po jednej stronie budynku wysokie trawy kołysały się powitalnie na wietrze, a z piasku uformowała się łukowata wydma, która zmieniała się niezauważalnie z każdym kolejnym dniem, gdy pojedyncze ziarenka przesuwały się z miejsca na miejsce.

Słońce przeświecało zza chmur i powietrze zdawało się fosforyzować, jak gdyby cząsteczki światła zawisły we mgle. Adrienne miała przez chwilę wrażenie, że cofnęła się w czasie.

Gdy jednak przyjrzała się bliżej, stopniowo zaczęła zauważać zmiany, których nie mogła ukryć zewnętrzna kosmetyka – spróchniałe rogi okien, smugi rdzy na dachu, plamy wody w pobliżu rynien. Gospoda zaczynała chyba podupadać i choć Adrienne zdawała sobie sprawę, że nie może zrobić nic, żeby to zmienić, zamknęła oczy, jak gdyby chciała za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywrócić jej dawny wygląd.

Teraz, stojąc w kuchni własnego domu, Adrienne, której brakowało kilku miesięcy do sześćdziesiątki, odwiesiła słuchawkę po rozmowie z córką. Usiadła przy stole, wracając myślą do ostatniej wizyty w Gospodzie i przypominając sobie długi weekend, który kiedyś tam spędziła. Bez względu na wszystko, co się zdarzyło w późniejszych latach, Adrienne w dalszym ciągu była głęboko przekonana, że miłość stanowi sens pełnego i wspaniałego życia.

Za oknami padał deszcz. Słuchając, jak stuka cicho o szyby, była wdzięczna za poczucie swojskości, które jej dawał. Wspominanie tamtych dni zawsze budziło w niej mieszane uczucia – coś zbliżonego do nostalgii, choć nie całkiem z nią tożsamego. Nostalgia często bywa interpretowana romantycznie, a nie było powodu, żeby czynić jej wspomnienia bardziej romantycznymi, niż były w istocie. Nie dzieliła ich też z innymi. Stanowiły wyłącznie jej własność i przez lata zaczęła traktować je jak coś w rodzaju ekspozycji muzealnej, gdzie była jednocześnie kustoszem i jedynym gościem. I w dziwny sposób uwierzyła, że przez te pięć dni nauczyła się więcej niż

przez wszystkie wcześniejsze czy późniejsze lata.

Mieszkała w domu sama. Dzieci dorosły, ojciec zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku, od rozvodu z Jackiem minęło już siedemnaście lat. Mimo że synowie namawiali ją czasami, żeby znalazła kogoś, z kim spędziłaby resztę życia, Adrienne nie odczuwała takiej potrzeby. Nie dlatego, że była nieufna wobec mężczyzn, przeciwnie, nawet teraz jej wzrok przyciągali niekiedy młodszy mężczyźni w supermarketach. Ponieważ bywali zaledwie kilka lat starsi od jej własnych dzieci, ciekawiło ją, co pomyśleliby, gdyby zauważyli, że się im przygląda. Czy zlekceważyliby ją, czy też odwzajemniliby uśmiech, uważając jej zainteresowanie za sympatyczne? Nie była pewna. Nie wiedziała też, czy możliwe, żeby pod zmarszczkami i siwiejącymi włosami dostrzegli kobietę, jaką była kiedyś.

Nie żałowała bynajmniej, że się starzeje. W dzisiejszych czasach ludzie mówią bez przerwy o rozkoszach młodości, lecz Adrienne nie chciała być znowu młoda. Jeśli już, to w średnim wieku, ale nie młoda. Wprawdzie brakowało jej niektórych rzeczy – wbiegania po schodach, noszenia więcej niż jednej torby z zakupami naraz, energii, pozwalającej dotrzymać kroku wnukom ścigającym się na podwórzu – z przyjemnością jednak zamieniłaby je na doświadczenie, które miała, a ono przychodzi dopiero z wiekiem. Faktem jest, że mogła spojrzeć wstecz na swoje życie i stwierdzić, że wcale się nie zmieniła, może tylko łatwiej jej się teraz zasypiało.

Poza tym młodość ma swoje problemy. Nie tylko pamiętała je z własnego życia, lecz również przyglądała się, jak jej dzieci borykały się tuż po dwudziestce z lękami okresu dojrzałości, niepewnością i zamętem. Choć dwoje z nich przekroczyło już trzydziestkę, a jedno jej dobiegało, zastanawiała się czasami, kiedy macierzyństwo przestanie być pracą w pełnym wymiarze godzin.

Matt miał trzydzieści dwa lata, Amanda trzydzieści jeden, a Dan skończył właśnie dwadzieścia dziewięć. Wszyscy ukończyli college, co napawało ją wielką dumą, ponieważ był czas, kiedy nie miała pewności, że któremukolwiek się to uda. Byli uczciwi, miłego usposobienia i samowystarczalni. Tego właśnie od nich przeważnie wymagała. Matt pracował jako księgowy, Dan był dziennikarzem sportowym w wieczornych wiadomościach w Greenville, obaj mieli już własne rodziny. Gdy przyjeżdżali na Święto Dziękczynienia, siadała z boku i przyglądała się, jak biegają za własnymi dziećmi, czując osobliwe zadowolenie, że synom sprawy ułożyły się tak, a nie inaczej.

Jak zwykle, sytuacja córki była trochę bardziej skomplikowana.

Dzieci miały czternaście, trzynaście i jedenaście lat, kiedy Jack wyprowadził się z domu, i każde z nich przeżywało rozwód inaczej. Matt i Dan rozładowywali agresję w sporcie lub od czasu do czasu w szkolnych bójkach, lecz cała sytuacja miała największy wpływ na Amandę. Jako średnie dziecko

między dwoma braćmi zawsze była najbardziej wrażliwa i jako nastolatka potrzebowała ojca w domu, choćby tylko po to, żeby oderwać się od strapionych spojrzeń matki. Zaczęła nosić ubrania, które w odczuciu Adrienne były szmatami, włóczyła się do późnej nocy z paczką młodych ludzi i przez parę następnych lat co jakiś czas przysięgała, że jest śmiertelnie zakochana w kolejnym chłopcu, a było ich w sumie przynajmniej pół tuzina. Po powrocie ze szkoły spędzała całe godziny w swoim pokoju, słuchając muzyki, od której drżały ściany, nie reagując na wołania matki wzywającej ją na obiad. Bywały okresy, kiedy całymi dniami prawie nie odzywała się do matki i braci.

Jednakże po kilku latach Amanda odnalazła w końcu swoją drogę życia, o dziwo, podobną do drogi życiowej Adrienne. W college'u poznała Brenta, po ukończeniu studiów pobrali się i mieli dwójkę dzieci. Podobnie jak wiele młodych małżeństw borykali się z trudnościami finansowymi, lecz Brent w przeciwieństwie do Jacka był rozsądny i zapobiegliwy. Gdy urodził im się pierwszy syn, wykupił polisę na życie jako zabezpieczenie, choć żadne z nich nie przypuszczało, że w niedługim czasie będą zmuszeni ją wykorzystać.

Mylili się.

Brent zmarł osiem miesięcy temu, padając ofiarą złośliwej odmiany raka jąder. Adrienne była świadkiem, jak Amanda popada w coraz głębszą depresję, a wczorajszego popołudnia, gdy spędziwszy trochę czasu z wnukami, odwiozła ich do

domu, zastała zasłony w oknach spuszczone, na werandzie wciąż paliło się światło, Amanda zaś siedziała w szlafroku w salonie, z tak samo nieobecny wyrazem twarzy jak w dniu pogrzebu.

Właśnie wtedy, stojąc w salonie w domu córki, Adrienne doszła do wniosku, że nadszedł czas, by opowiedzieć jej o przeszłości.

*

Czternaście lat. Tyle lat minęło.

Max miał sześć lat, a Greg cztery, i w ciągu minionych ośmiu miesięcy Adrienne zauważyła wyraźne zmiany w ich osobowości. Obaj stali się zamknięci w sobie i milczący. Żaden z nich nie grał jesienią w piłkę nożną i choć Max dobrze czuł się w przedszkolu, płakał każdego ranka przed wyjściem z domu. Greg zaczął znowu moczyć się w nocy i wpadał w złość z byle powodu. Adrienne zdawała sobie sprawę, że podłożem niektórych z tych zachowań jest utrata ojca, ale też wpłynęła na nie zmiana w postępowaniu Amandy od ostatniej wiosny.

Dzięki ubezpieczeniu Amanda nie musiała pracować. Mimo to przez pierwsze dwa miesiące po śmierci Brenta Adrienne spędzała niemal każdy dzień w domu córki, zajmując się rachunkami i gotowaniem dla dzieci, gdy tymczasem Amanda spała i rozpaczała w swoim pokoju. Przytulała ją, ilekroć córka tego potrzebowała, była uważną słuchaczką, gdy Amanda chciała rozmawiać, i zmuszała ją, żeby codziennie

spędzała przynajmniej godzinę na dworze, w nadziei, że świeże powietrze przywróci córce chęć do rozpoczęcia życia od nowa.

Adrienne miała wrażenie, że Amandzie poprawia się samopoczucie. Wczesnym latem zaczęła się znowu uśmiechać, najpierw rzadko, potem coraz częściej. Kilka razy wybrała się do miasta, wzięła dzieci na wrotki, toteż Adrienne stopniowo wycofywała się z obowiązków, które przyjęła na siebie. Zdawała sobie sprawę, jak ważne jest, żeby córka wzięła na nowo odpowiedzialność za swoje życie. Wiedziała z własnego doświadczenia, że pocieszenie można znaleźć w zwykłych codziennych czynnościach. Spodziewała się, że ograniczając swoją obecność w życiu Amandy, zmusi ją do uświadomienia sobie tego.

Jednakże w sierpniu, w dniu, w którym wypadała siódma rocznica jej ślubu, młoda kobieta otworzyła drzwi szafy w głównej sypialni i spostrzegła kurz, który zebrał się na ramionach garniturów męża. I nagle proces poprawy się zatrzymał. Nie nastąpił regres – bywały chwile, że przypominała dawną Amandę – ale przeważnie zdawało się, że zastygła gdzieś pośrodku. Nie była ani przygnębiona, ani szczęśliwa, ani podniecona, ani ospała, ani zainteresowana tym, co się dzieje wokół niej, ani znudzona. Adrienne doszła do wniosku, że Amandzie wydaje się, iż każdy krok do przodu w jakiś sposób zbruka jej wspomnienia o Brenzie, i postanowiła nie dopuścić do takiej sytuacji.

Nie było to jednak w porządku wobec dzieci. Potrzebowały matczynych rad, matczynej miłości i troskliwości. Czekwały na to, żeby im powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Straciły już jedno z rodziców i przeżyły to bardzo ciężko. Ostatnio jednak Adrienne miała wrażenie, że chłopcy stracili również matkę.

*

W łagodnym świetle słabo oświetlonej kuchni Adrienne spojrzała na zegar. Na jej prośbę Dan zabrał Maxa i Grega do kina, żeby mogła spędzić wieczór sam na sam z Amandą. Obaj jej synowie również niepokoiли się o swoich siostrzeńców. Nie tylko starali się ze wszystkich sił brać czynny udział w życiu chłopców, lecz prawie wszystkie rozmowy z matką zaczynały się lub kończyły tym samym pytaniem: *Co robimy?*

Dzisiaj, gdy Dan zadał znowu to samo pytanie, Adrienne zapewniła go, że porozmawia z Amandą. Mimo że Dan podchodził do tego sceptycznie – czyż nie próbowali robić tego przez cały czas? – wiedziała, że dzisiejszego wieczoru będzie inaczej.

Adrienne nie miała złudzeń na temat tego, co myślał o niej jej dzieci. Owszem, kochały i szanowały ją jako matkę, wiedziała jednak, że nigdy tak naprawdę jej nie znały. W oczach dzieci była osobą o łagodnym usposobieniu, lecz przewidywalną, miłą i zrównoważoną, przyjazną duszą z innej epoki, która szła przez życie z naiwnym przekonaniem o

nienaruszalności świata. Oczywiście widać było po niej upływ czasu – przez te wszystkie lata żyły na jej dłoniach nabrzmiały, figura zaczęła przypominać bardziej prostokąt niż klepsydrę, nosiła coraz mocniejsze szkła – ale czasami tłumiała śmiech, gdy widziała, jak patrzą na nią z minami, które miały poprawić jej samopoczucie.

Wiedziała, że po części ta błędna ocena wynikała z pragnienia, by postrzegać ją w pewien sposób, zgodnie z wcześniej ukształtowanym wizerunkiem kobiety w jej wieku, wizerunkiem, który był dla nich do przyjęcia. Łatwiej było – i szczerze mówiąc, wygodniej – uważać mamę za osobę raczej powściągliwą niż odważną, raczej ciepłe kluchy niż kogoś o doświadczeniach, które mogłyby ich zaskoczyć. I podtrzymując ten wizerunek matki o łagodnym usposobieniu, przewidywalnej, miłej i zrównoważonej, nie miała ochoty zmieniać ich osądu.

Wiedząc, że Amanda zjawi się lada chwila, Adrienne podeszła do lodówki i postawiła na stole butelkę pinot grigio. Po południu w domu zrobiło się chłodno, toteż idąc na górę do sypialni, nastawiła termostat na wyższą temperaturę.

Ponieważ pokój, który dzieliła kiedyś z Jackiem, należał teraz wyłącznie do niej, od rozvodu urządziła go na nowo dwa razy. Adrienne podeszła do łóża z baldachimem, które pragnęła mieć od czasów dzieciństwa. Pod nim było schowane, wepchnięte pod samą ścianę, małe pudełko z papeterią. Adrienne wyciągnęła je i położyła obok siebie na poduszce.

Wewnątrz znajdowały się pamiątki, które zachowała – liścik, zostawiony przez Paula w Gospodzie, zdjęcie, zrobione mu w klinice, oraz list, który otrzymała na kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia. Pod nimi leżały dwa pliki listów, które między sobą wymieniali, a w środku kolorowa muszla, znaleziona kiedyś przez nich na plaży.

Adrienne odłożyła wszystko na bok, wyjmując kopertę z jednego z plików i przypominając sobie, jak się czuła, gdy przeczytała adresowane do niej słowa po raz pierwszy, po czym wysunęła z koperty kartkę. Papier pożółkł i zrobił się łamliwy i mimo że atrament wyblakł przez lata, od chwili gdy list został napisany, słowa były czytelne.

Droga Adrienne

Pisanie listów nigdy nie było moją mocną stroną, mam więc nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli nie uda mi się wyrazić wszystkiego jasno.

Wierz mi lub nie, dotarłem dziś rano na ośle do miejsca, w którym będę przez pewien czas wiódł życie, i zaznałem się z nim dokładnie. Chciałbym móc Ci powiedzieć, że jest lepiej, niż się spodziewałem, ale jeśli mam być całkiem szczery, zupełnie tak nie jest. W klinice brakuje niemal wszystkiego – lekarstw, aparatury, łóżek – ale rozmawiałem z dyrektorem i myślę, że uda mi się rozwiązać ten problem przynajmniej częściowo. Mimo że mają tam generator prądu, nie ma telefonów, toteż nie

będę mógł zadzwonić, dopóki nie dotrę do Esmeraldas. To dwa dni konnej jazdy stąd, a następnej dostawy nie spodziewamy się wcześniej niż za kilka tygodni. Przykro mi z tego powodu, lecz oboje chyba przypuszczaliśmy, że sytuacja może wyglądać tak, a nie inaczej.

Nie widziałem jeszcze Marka. Jest teraz w filii kliniki dość daleko w górach i wróci późnym wieczorem. Napiszę Ci, jak się sprawy układają, ale z początku nie oczekuję cudu. Jak sama powiedziałaś, potrzebujemy chyba czasu, żeby się poznać wzajemnie, zanim spróbujemy rozwiązać nasze problemy.

Nie potrafię nawet obliczyć, ilu pacjentów badałem dzisiaj. Chyba ponad setkę. Dawno już nie widziałem ludzi z tego rodzaju schorzeniami, ale pielęgniarka była bardzo pomocna, gdy spostrzegła, że się w tym wszystkim gubię. Przypuszczam, że była wdzięczna choćby tylko za to, że tam w ogóle jestem.

Od mojego wyjazdu stale o Tobie myślę, zastanawiając się, dlaczego podróż, którą odbywam, zdaje się prowadzić przez Ciebie. Wiem, że ta podróż jeszcze się nie skończyła i że życie jest krętą ścieżką, mogę jednak tylko mieć nadzieję, iż jakimś sposobem zatoczy z powrotem krąg do miejsca, do którego należę.

Tak właśnie myślę teraz. Należę do Ciebie. Jadąc samochodem, a potem lecąc samolotem, wyobrażałem sobie, że gdy będę lądował w Quito, zobaczę Cię wśród

tłumów, czekającą na mnie. Zdawałem sobie sprawę, że to niemożliwe, lecz z jakiejś przyczyny chyba dlatego było mi odrobinę łatwiej rozstać się z Tobą. Czułem się niemal tak, jak gdybym zabrał ze sobą część Ciebie.

Chcę wierzyć, że to prawda. Nie, przepraszam – wiem, że to prawda. Zanim się spotkaliśmy, byłem zagubiony, jak tylko może być zagubiony człowiek, a jednak Ty zobaczyłaś we mnie coś, dzięki czemu odzyskałem znowu orientację. Oboje znamy powód mojego przyjazdu do Rodanthe, nie mogę jednak przestać myśleć, że wmieszały się w to jakieś siły wyższe. Pojechałem tam, żeby zamknąć pewien rozdział mojego życia, w nadziei, że pomoże mi to odnaleźć drogę. Ale myślę, że to Ciebie szukałem przez całe życie. I to Ty jesteś ze mną teraz.

Oboje wiemy, że muszę tu zostać na pewien czas. Nie mam pojęcia, kiedy wrócę i nawet gdyby nasza rozłąka miała nie potrwać długo, zdaję sobie sprawę, że będę za Tobą tęsknił bardziej niż kiedykolwiek za kimkolwiek innym. Chwilami mam ochotę wskoczyć do samolotu i przylecieć do Ciebie, ale jeśli to, co się stało między nami, jest tak prawdziwe, jak mi się wydaje, jestem pewien, że nam się uda. I wrócę, obiecuję Ci. W tym krótkim czasie, który spędziliśmy razem, mieliśmy to, o czym większość ludzi może tylko marzyć, i będę liczył dni dzielące nas od ponownego spotkania. Nigdy nie zapominaj, jak bardzo Cię kocham.

Adrienne skończyła czytać list i odłożyła go na bok. Wzięła do ręki muszlę, którą znaleźli dawno temu w niedzielne popołudnie. Nawet teraz wydzielala zapach soli, ponadczasowości oraz pierwotną woń samego życia. Była średniej wielkości, idealnego kształtu, niepopękana, aż trudno uwierzyć, że po sztormie znaleźli ją w takim stanie we wzburzonej morskiej pianie na wybrzeżu Outer Banks. Pomyślała wtedy, że to znak. Pamięta, że podniosła ją do ucha i powiedziała, że jest w niej zakłęty szum oceanu, na co Paul się roześmiał, mówiąc, że to szum prawdziwego oceanu właśnie słyszy. Otoczył ją ramionami.

– To przyptyw, nie zauważyłaś? – szepnął.

Adrienne przerzuciła zawartość pudełka, odkładając to, co było jej potrzebne do rozmowy z Amandą i żalując, że nie ma czasu, by powspominać dłużej. Może później, pomyślała. Wsunęła resztę przedmiotów do dolnej szuflady, wiedząc, że nie ma potrzeby, żeby Amanda je oglądała. Wzięła pudełko, wstała z łóżka i wygładziła spódnice.

Wkrótce zjawi się jej córka.

Rozdział 2

Adrienne była w kuchni, gdy trzasnęły drzwi wejściowe. W chwilę później usłyszała kroki Amandy w salonie.

– Mamol!

Adrienne postawiła pudełko na bufecie.

– Jestem tutaj – zawołała.

Gdy Amanda weszła do kuchni, pchnąwszy wahadłowe drzwi, zobaczyła matkę siedzącą przy stole, przed nią stała nieodkorkowana butelka wina.

– Co się stało? – spytała Amanda.

Adrienne uśmiechnęła się, myśląc, jak ładna jest jej córka. Z jasnobrązowymi włosami, piwnymi oczami i wydatnymi kośćmi policzkowymi, zawsze była urocza. Choć o parę centymetrów niższa od matki, miała postawę tancerki i wydawała się wyższa. Była szczupłą, trochę zbyt szczupłą zdaniem Adrienne, która nauczyła się jednak powstrzymywać od komentarzy na ten temat.

– Chciałam z tobą porozmawiać – powiedziała Adrienne.

– O czym?

Adrienne nie odpowiedziała, lecz wskazała jej gestem krzesło.

– Chyba powinnaś usiąść.

Amanda usiadła obok niej przy stole. Z bliska wyglądała mizernie i matka ujęła jej dłoń. Uścisnęła ją bez słowa, po czym puściła niechętnie i odwróciła się do okna. Przez długą chwilę w kuchni panowała cisza.

– Mamo! – odezwała się wreszcie Amanda. – Dobrze się czujesz?

Adrienne zamknęła oczy i skinęła twierdząco głową.

– Nic mi nie jest. Zastanawiałam się po prostu, od czego zacząć.

Amanda zeszywniała lekko.

– Znowu chcesz rozmawiać o mnie? Bo jeśli tak...

Adrienne przerwała jej, kręcąc głową.

– Nie. Chcę porozmawiać o sobie – rzekła stanowczo. – Opowiem ci o czymś, co wydarzyło się czternaście lat temu.

Amanda przechyliła głowę i wśród znajomych sprzętów małej kuchni Adrienne zaczęła swoją opowieść.

Rozdział 3

Rodanthe, 1988

Niebo było szare, gdy tamtego poranka Paul Flanner wyszedł z biura notarialnego. Zapinając kurtkę, ruszył przez mgłę do wynajętej toyoty camry. Usiadł za kierownicą, myśląc, że życie, które pędził przez ostatnie ćwierć wieku, zakończyło się oficjalnie wraz ze złożeniem przez niego podpisu na umowie sprzedaży.

Był początek stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. W ubiegłym miesiącu sprzedał swoje oba samochody, gabinet lekarski i teraz, podczas ostatniego spotkania z doradcą prawnym, swój dom.

Nie wiedział, jak będzie się czuł po sprzedaży domu, jednakże przekręcając kluczyk w stacyjce, uświadomił sobie, że nie czuje właściwie nic poza niejasną świadomością przypieczętowania pewnych spraw. Wcześniej tego samego ranka po raz ostatni obszedł cały dom, pokój po pokoju, w nadziei, że przywoła na pamięć sceny ze swego życia.

Pomyślał, że wyobrazi sobie świąteczną choinkę i przypomni, jaki podniecony był jego syn, gdy schodził cichutko w piżamie po schodach, żeby zobaczyć, co za prezenty przyniósł mu Święty Mikołaj. Próbował odtworzyć kuchenne zapachy podczas Święta Dziękczynienia lub deszczowych niedzielnych popołudni, gdy Martha gotowała gulasz, rozgwar głosów dobiegających z salonu, gdy wraz z żoną przyjmowali wielokrotnie gości.

Gdy tak przechodził z pokoju do pokoju, zatrzymując się na chwilę tu i tam, by zamknąć oczy, nie ożywały jednak żadne wspomnienia. Zdał sobie sprawę, że dom nie jest niczym więcej jak pustą skorupą, i jeszcze raz zastanowił się, dlaczego mieszkał w nim aż tak długo.

Paul wyjechał z parkingu i skierował się na drogę międzystanową, żeby uniknąć dużego ruchu dojeżdżających do pracy z przedmieścia. Dwadzieścia minut później skręcił w drogę numer siedemdziesiąt, dwupasmówkę biegnącą na południowy wschód, w kierunku wybrzeża Karoliny Północnej. Na tylnym siedzeniu leżały dwa duże worki podróżne. Bilety lotnicze i paszport znajdowały się w niedużej skórzanej torebce na przednim siedzeniu obok niego. W bagażniku wioził dobrze wyposażoną apteczkę oraz różne rzeczy, o których dostarczenie go poproszono.

Nad nim rozpiął się szarobiały parasol nieba; zima zadamowiła się już na dobre. Rano padał przez godzinę deszcz, a ponieważ wiał wiatr północny, wrażenie chłodu było

dotkliwsze. Na autostradzie panował niezbyt duży ruch, nie było też ślisko, toteż Paul ustawił przełącznik stałej prędkości o kilka kilometrów powyżej dozwolonej, wracając myślą do tego, co robił dzisiejszego poranka.

Britt Blackerby, jego doradca prawny, próbował wyperswadować mu to po raz ostatni. Przyjaźnili się od lat. Pół roku temu, gdy Paul po raz pierwszy wspomniął o swoich zamiarach, Britt pomyślał, że Paul stroi sobie żarty, i wybuchnął głośnym śmiechem.

– Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie – powiedział.

Gdy jednak spojrzął przez stół na twarz przyjaciela, zdał sobie sprawę, że Paul mówi całkiem serio.

Rzecz jasna, Paul był przygotowany na to spotkanie. Było to jedno z jego niewzruszonych przyzwyczajęń. Popchnął po stole w kierunku Britta trzy starannie zadrukowane kartki, przedstawiające pokrótce proponowane przez niego ceny, które uważał za uczciwe, oraz przemyślane uwagi na temat proponowanych umów. Britt wpatrywał się w nie przez długą chwilę, zanim podniósł wzrok.

– Czy to z powodu Marthy? – spytał.

– Nie – odpowiedział Paul. – Po prostu musiałem to zrobić.

Paul włączył ogrzewanie w samochodzie i przysunął rękę do kratki nawiewu, żeby ciepłe powietrze dmuchało mu na palce. Zerknął w lusterko wsteczne, żegnając wzrokiem drapacze chmur Raleigh i zastanawiając się, kiedy znowu je

zobaczy.

Sprzedał dom młodemu, czynnym zawodowemu małżeństwu – mąż pełnił kierowniczą funkcję w GlaxoSmithKline, a żona była psychologiem – które przyszło obejrzyć go pierwszego dnia, gdy został wystawiony na sprzedaż. Nazajutrz wrócili i złożyli ofertę podczas tej właśnie wizyty. Byli pierwszym i jedynym małżeństwem, które obejrzało dom.

Paul nie był zaskoczony. Towarzyszył im, gdy po raz drugi oglądali mieszkanie, przez ponad godzinę rozważając jego zalety i wady. Mimo że starali się ukryć uczucia, Paul wiedział od samego początku, od chwili gdy tylko ich zobaczył, że zdecydują się na kupno. Zademonstrował im działanie systemu alarmowego i pokazał, jak otwierać bramę oddzielającą jego posiadłość od reszty sąsiedztwa. Dał im wizytówkę projektanta ogrodów, z którego usług korzystał, jak również firmy zajmującej się utrzymaniem basenów – miał z nią podpisaną umowę. Wyjaśnił, że marmur na posadzki w holu został sprowadzony z Włoch, a witraże wykonał rzemieślnik z Genewy. Kuchnia została urządzona na nowo dwa lata temu. Lodówkę z zamrażarką oraz zestaw kuchenny Viking można uważać za supernowoczesne. Nie, gotowanie dla dwudziestu osób, a nawet ponad dwudziestu, nie będzie problemem. Poprowadził ich przez główny ciąg pokoiów, łazienkę, resztę sypialń, zauważając, jak ich wzrok zatrzymuje się na wykonanych ręcznie sztukateriach i malowanych wałkiem ścianach. Na dole pokazał im meble wykonane na

zamówienie oraz kryształowy żyrandol i pozwolił przyjrzeć się dokładnie perskiemu dywanowi pod stołem z wiśniowego drewna w eleganckiej jadalni. W bibliotece patrzył, jak mąż przesuwa palcami po klonowej boazerii, a potem przygląda się lampie od Tiffany'ego na skraju biurka.

– I cena – spytał mąż – obejmuje całe umeblowanie?

Paul skinął twierdząco głową. Wychodząc z biblioteki, słyszał ich ściszone, podniecone szept, gdy szli za nim.

Kiedy po mniej więcej godzinie stali w drzwiach, szykując się do odejścia, zadali pytanie, którego Paul spodziewał się od samego początku.

– Dlaczego zdecydował się pan sprzedać dom?

Paul pamiętał, że popatrzył na mężczyznę, wiedząc, że jego pytanie ma głębszy podtekst niż zwykła ciekawość. Wokół decyzji Paula powstała aura skandalu, zdawał sobie sprawę, że cena, którą podał, jest o wiele za niska, nawet gdyby sprzedawał posiadłość bez żadnego wyposażenia.

Mógłby odpowiedzieć, że niepotrzebny mu aż tak duży dom, ponieważ został sam. Albo że dom jest odpowiedniejszy dla kogoś młodsze, komu nie przeszkadzają schody. Ewentualnie, że ma zamiar kupić lub wybudować nowy dom i pragnie mieć całkiem inny wystrój. Albo że chce odejść na emeryturę i nie podoła wszystkiemu.

Jednakże żaden z tych powodów nie był prawdziwy. Zamiast więc wdać się w pokrętne wyjaśnienia, Paul spojrzał mężczyźnie prosto w oczy.

– A dlaczego chce go pan kupić? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Jego ton był przyjazny i męczyzna zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, wymieniając z żoną spojrzenia. Była drobną ładną brunetką, mniej więcej w tym samym wieku co on, mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Mąż, również przystojny, wyprostowany jakby kij połknął, najwyraźniej był dobrze zapowiadającym się biznesmenem, któremu nigdy nie brakuje pewności siebie. W pierwszym momencie nie zrozumieli chyba, o co mu chodzi.

– To rodzaj domu, o jakim zawsze marzyliśmy – wyjaśniła w końcu młoda kobieta.

Paul pokiwał głową. Tak, pomyślał, pamiętam doskonale, że właśnie tak to odczuwałem. W każdym razie jeszcze pół roku temu.

– Wobec tego mam nadzieję, że będziecie państwo w nim szczęśliwi – powiedział.

W chwilę później małżeństwo ruszyło do samochodu i Paul odprowadził ich wzrokiem. Pomachał im, wchodząc do środka, ale gdy już zamknął drzwi, poczuł, że ma ściśnięte gardło. Zdał sobie sprawę, że patrząc na męczyznę, miał wrażenie, że widzi swoje odbicie w lustrze wiele lat temu. I z powodu, którego absolutnie nie potrafił zrozumieć, Paul uświadomił sobie, że ma łzy w oczach.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).